Rok I. Lwów, dnia 30. Czerwca 1877. Nr. 18.

Prenumerata we Lwowie.
Całoroczna . . . . . . 3 złr. 70 ct.
Półroczna . . . . . . 1 „ 82 ct.
Z przesyłką pocztową prenumerata jak na prowincyi.
Ogłoszenia przyjmuje się za opłatą 6 cnt. od wiersza drobnym drukiem.

Wydawca i Redaktor:
Ksiądz Stanisław Stojałowski.

PIAST

Prenumerata na prowincyi.
Całorocznie . . . . . . 4 złr.
Półrocznie . . . . . . 2 „
W cesarstwie niemieckiem . 8 marek.
Wychodzi dwa razy w miesiącu:
15. i 30. każdego miesiąca.

Redakcya i Administracya:
Lwów ulica Piekarska Nr. 7.

DWUTYGODNIK
poświęcony sprawie polsko-katolickiej.

In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus caritas S. Aug. | *W koniecznych zgoda, w wątpliwych swobodu, we wszystkiem miłość S. Aug.*

Zasady i program narodowy
na tle przemowy Piusa IX. do pielgrzymów polskich.

Słowa Piusa IX. przyjęła Polska cała z najżywszą sympatyą — wszystkie stronnictwa i wszystkie pisma — z wyjątkiem jednego *Tygodnia**) — powtórzyły jego przemowę do pielgrzymów polskich, i uznały, że prawdziwa miłość, największa przychylność i serdeczna przyjaźń Piusa IX dla naszego narodu przejawiła się na posłuchaniu Polaków we wszystkiem co On tam uczynił i w każdem słowie, które wymówił.

Polska dumną być może, mając wśród strupieszałej Europy takiego obrońcę i przyjaciela! Ale to nie zbawia — Polska wyzyskać też powinna tę przychylność Papieża dla siebie — a wyzyska ją, jeśli usłucha tego, co jej radzi i poleca Namiestnik Chrystusa. Słowo bowiem Piusa było bardzo na czasie, a jako słowo prawdziwą miłością Bożą natchnione, *zadowolniło* wszystkich.

I nie cudze to w Polsce, że na słowo jednego człowieka wszyscy się zgodzili — i żadne nie odezwało się *veto?!* Siła to prawdy i namaszczenie Ducha Bożego sprawiło. Słusznie więc na tej prawdzie przez Piusa IX. wygłoszonej, oprzeć możemy nasz program narodowy, program, na który zgodzić powinny się wszystkie stronnictwa, tak jak zgodnie przyjęły z uszanowaniem przemowę Piusa IX.

Weźmy więc na uwagę tę przemowę, i wysnujmy z niej wszystkie prawdy, jakie ona w sobie zawiera.

Pierwsza prawda i zasada, która oczywiście z ducha całej przemowy płynie, jest ta sama, którą jako klejnot najdroższy w skarbie narodowych przekonań przechowujemy: mianowicie ta, że narodowi naszemu dzieje się krzywda od obcej przemocy, i że naród nasz w sercu swem przechować powinien nadzieję i pragnienie odrodzenia. Pius IX. bowiem cierpienia narodowe nazywa *uciskiem* i błogosławi nas, *aby ustało uciśnienie nasze*, a więc pragnie i życzy nam tego, abyśmy z pod ucisku uwolnieni zostali.

Ten sposób zapatrywania się na cierpienia narodu, jest prawdziwy i pełen otuchy dla nas, i jeśli nie zawiera dla nas nic nowego, to jednak nie mała w tem dla nas pociecha, że Namiestnik Chrystusa tem samem co i my okiem zapatruje się na naszą sprawę narodową.

Drugą prawdę wyraża Pius IX. w tych słowach *„ustanie (uciśnienie), gdy ustanie przyczyna jego, którą są grzechy nasze“*. Zdaniem więc jego, w którego wypowiedzeniu powołał się na identyczne przekonanie starego, równie walecznego jak pobożnego żołnierza polskiego, jest, że Polska mniej w messyańskwo swoich cierpień wierzyć, ale je raczej za chłostę za grzechy poczytywać powinna. Nie mówić nam tedy *tyle* o „męczeństwie“ i „wiekowej pokucie“ ile o tem, czyśmy grzechy, do których się przyznać bądź co bądź musimy, naprawili i z nich się wyleczyli. Na cóż się bowiem i wiekowa przyda pokuta jeśli *trwa jeszcze zawsze to*, za co pokutujemy, i za co — jak długo ono trwać będzie — na dalsze lata pokuta rozciągniętą być musi. Grzech narodowy, którego nikt nie zaprzeczy, to *zaniedbanie ludu,* i *brak szczerej dla niego miłości i prawdziwego poświęcenia*. Ten grzech, naszem zdaniem, głównie przyczynił się do upadku — a jakże mało myśmy się z niego poprawili. Przejdźmy wioski nasze wzdłuż i w szerz Galicyi — ach! ileż to dla ludu już zrobić można było — a jeszcze się nie zrobiło — ileż to zrobić można zławością, prawie bez ofiar — a jeszcze się nie robi.

Grzech nasz narodowy, który bezsprzecznie przyspieszył rozbiór ojczyzny, ułatwił pracę wrogom, a sparaliżował dotychczasowe wysiłki narodowe — *to waśń i niezgoda* — ta przywara, która weszła już w przy-

*) Było to zresztą rzeczą bardzo pożądaną — byłoby to bowiem nie małą ujmą dla Piusa IX., gdyby przemowa jego w łamach pizmem przesiąkniętego została umieszczoną. Obacz niżej przegląd darwinizmu dziennikarstwa.

słowie, i stała się piętnem naszem w obec innych narodów. A z boleścią przyznać się musimy, żeśmy pod tym względem „niczego nie zapomnieli i nic się nie nauczyli“, a Galicya nasza najwolniejsza, stojąca dziś, można powiedzieć, na wysuniętem narodowem stanowisku, powołana do działania narodowego w najszerszem tego słowa znaczeniu — o jakże smutny rozdziałów, niesnasków, ustawicznej kłótni przedstawia obraz!

Gdybyśmy byli po pół wieku z naszej stuletniej niedoli poświęcili na poprawę tych dwu grzechów, jużbyśmy byli o połowę przynajmniej bliżej chwili odrodzenia — a my o „wiekowej pokucie“ mówimy i piszemy, zapominając, że kardynalny warunek pokuty: to poprawa z grzechu.

Trzecia prawda — najwyraźniej wypowiedziana w przemowie Ojca św. — to ta, że siły do walki z żywiołem przemocy czerpać powinniśmy wewnątrz nas — w zasobach narodowego ducha i cnót narodowych. Dziwnie pięknie wyraził to Pius IX. zalecając nam w ucisku: *cierpliwość, stałość i odwagę.* Trzy te cnoty jakby przez natchnienie polecił nam Namiestnik Chrystusa jako lekarstwo na trzy błędy, w które dotąd często popadaliśmy na szkodę naszą. Niecierpliwość i niespokojność nasza popchnęła już nas nieraz do szlachetnych i idealnie pięknych, ale niewczesnych i niedojrzałych kroków i wysileń, które nas bardziej tylko osłabiły. Niestałość nasza już prawie w przywarę przeszła narodową. Skorzy jesteśmy do każdego patryotycznego czynu — ależ przyznajmy, czyż zapał nasz nie jest jak zapałka, która prędko płomieniem błyśnie, ale też i prędko gaśnie. Niestałość ta i w innych jeszcze przejawia się rzeczach. Stałość i hart męski powinienby ten mieć skutek, iżbyśmy żelazną dłonią trzymali się naszych tradycyj i odwiecznych zwyczajów, i przechowywali je już bodaj jako pamiątki i relikwie po ojcach naszych. Tymczasem znika, a raczej zniknął strój polski, obyczaj polski, gościnność, serdeczność i to wszystko, co Pol tak pięknie zebrał w „Pieśni o ziemi naszej“ i w „Pieśni o domu naszym“.

Przejdźmy owe niegdyś słynne dwory szlacheckie, owe komnaty polskich panów, owe plebanie nawet, przejdźmy domy mieszczan naszych — są one dziś w całem tego słowa znaczeniu kosmopolityczne — zginęły domy polskie — i zostały tylko „polskie chaty“ — czyli inaczej osłabły tradycye narodowe w klasach wyższych — utrzymały się w ludzie polskim.

Powie kto, że to postęp, ależ postęp prawdziwy doskonalić winien stare rzeczy, a nie niszczyć, zwłaszcza gdy mowa o obyczaju narodowym, i gdy postęp nic lepszego na miejsce obalonych rzeczy postawić nie umie.

Odwaga wreszcie, choć to niby odwagą szczyci się naród polski, jest nam dziś więcej, jak cokolwiek potrzebna. Nie o odwadze bowiem w boju tu mowa, ale o odwadze cywilnej, której brak dzisiaj tak dotkliwie czuć się daje. Brak jej w obec obcych — i ztąd nie rzadko dziś już znajdą się tacy, którzy zrezygnowali z przyszłości narodu; brak jej w obec swoich, dlatego prądy antinarodowe, żydowsko-teutońskie do takiej doszły siły, że własne mają organa w narodzie polskim!

Oto zasady nasze narodowe, rozwinięte z prawdą na tle przemowy Piusa IX. Przejdźmy teraz do programu narodowego.

Moskiewskie do Polski umizgi.

Od pewnego czasu kiełkuje w dziennikarstwie moskiewskiem dążenie do zgody z Polakami; zachodzi więc pytanie, czy my z tym na pozór dodatnim objawem ducha rosyjskiego liczyć się możemy.

Ugodowe aspiracye Moskali należy w pewnej części uważać jako naturalny wynik ruchu panslawistycznego, który w ostatniej dobie tak potężnie ogarnął całą Rosyę. Profesor Gradowski, człowiek bez wątpienia dobrej woli, który pierwszy podniósł myśl pogodzenia się z Polakami, musiał zapewne z przerażeniem skonstatować, że w gmachu jego rojeń panslawistycznych brakuje najdzielniejszej podpory, brakuje Polski. To też z nad Newy woła do „braci Słowian“ nad Niemnem i Wisłą, aby już raz ustały wiekowe niesnaski i aby na chmurnem tle zaciętego antagonizmu błysnął promień „miłości słowiańskiej“.

Ładnie mówi pan Gradowski. I my także jesteśmy przekonani, że nareszcie zagoją się wiekowe blizny, lecz nie stanie się to w imię bałamutnej „miłości słowiańskiej“ — która w ustach Moskala jest najpotworniejszą ironią XIX. stulecia, — ale antagonizm ten złagodnieje, a może w dalekiej przyszłości i całkiem zniknie, w skutek odwiecznych praw historyi. Niema bowiem ran w życiu narodów, którychby czas nie zdołał zagoić; a także i nieśmiertelna prawda chrześcijańska nakazuje przebaczać i nieść na bojowe pogorzeliska ewangelią zgody i miłości.

Zachodzi atoli pytanie, czy prasa moskiewska, która na podstawie ugodowych artykułów prof. Gradowskiego śpiewa na przyjazną dla Polski nutę, czy ta prasa, wychowana w szkole Katkowa i Krajewskiego, zasługuje na wiarę i na zaszczyt dyskusyi. Odpowiadamy z całą stanowczością, że obecnie nie. Prasa rosyjska jest urzędową lub półurzędową, a to co u Gradowskiego jest wypływem szczerego serca, staje się w ręku dzierżawców publicystyki rosyjskiej narzędziem bardzo pospolitej konstrukcyi; ugodowa aria Krajewskich i Trubnikowów podnosi lub zniża swój ton wedle ukazu wychodzącego z departamentu policyi państwowej.

Może to nie prawda? — Po ukazu nawoływał w r. 1862-3 Katkow do mordu i pożogi i nazywał Murawiewa bohaterem. Po ukazu rzuciła się cała sfora tych godnych publicystów ro-

syjskich w r. 1864—70 na Polskę i Litwę z barbarzyńskiemi projektami wywłaszczenia. Po ukazu zbroczono szarą chorągiew prawosławia krwią męczenników chełmskich. Lecz może są to daty nadto stare, może mogiły te już zarosły mchem zadawnienia, a może najświeższa chwila przyniosła łagodniejsze wiatry z mroźnej północy? — Ta sama prasa, która dzisiaj bredzi o zgodzie, denuncyowała właśnie przed rokiem. w czasie zaognienia się wojny serbsko-tureckiej, spokojną Warszawę, iż w łonie swojem kryje petardy rewolucyi, ten sam „Gołos" fałszował korespondencye i dokumenta, aby na arenie walki „słowiańskiej" wyczarować kordyanowskiego upiora Polski! — Więc z kim że się tu właściwie godzić?

Czy może z tą prasą nikczemną, która że sama nosi obrożę lokajstwa, to i drugich chce zakuć w kajdany? Czy wreszcie ta prasa moskiewska rezrezentuje naród? — W Rosyi, która dotąd jeszcze nie pomściła się za krew Pestla i Rylejewa, niema narodu w europejskiem znaczeniu tego słowa. Czy przynajmniej owa prasa przemawia w imieniu pewnego stronnictwa? — W Rosyi jest tylko jedno stronnictwo, stronnictwo żandarmów carskich i szpiegów, a druga partya ma usta zakneblowane na Syberyi i ręce zakute w Nerczyńsku!

Wszelkie więc sentymenta prasy moskiewskiej do Polski, uważać należy jako podejrzane manewry, a wszelka dyskusya z koryfeuszami prasowej policyi moskiewskiej jest aktem bezpożytecznem i niepolitycznym. Mamy właśnie dowód w ręku z ostatniej chwili. Na artykuł prof. Gradowskiego odezwał się w „St. Petersb. Wiedom." Polak H. S. „w imieniu emigracyi polskiej". Z artykułu tego „emigranta" wyjmujemy następujący cytat, o którego uważne odczytanie prosimy:

„Wyznajemy, że w obec gotującej się walki o byt Słowiańszczyzny milkną interesa nasze *bez względu na ich uprawnienie* . . . Pocóż mamy *grzech taić?* znienawidziliśmy was i zamknąwszy się w sobie przycichnęliśmy... Od roku 1870 myśmy stanowczo przejrzeli, pojmując, że zachowanie naszego istnienia słowiańskiego *odtąd ulega warunkom słowiańskiej potęgi i solidarności* . . . *Myśmy walczyli za strumyki*; przy sprawdzeniu okazało się, że *nie ma miejsca dla strumyków, lecz dla potężnych rzek (sic)* . . . Dziś właśnie czas wypowiedzieć, że nienawiść nasza do Rosyi i Rosyan była u nas po za sferą życia politycznego *bardzo rzadkiem zjawiskiem*. Były winy, a *raczej nieporozumienia*... Zdawałoby się, że cały ten proces przetwarzania jednej narodowości na drugą niepotrzebny. My sami zrobimy co potrzeba, aby zbliżyć się do waszych politycznych poglądów.

. . Rozwiązanie słowiańskiej kwestyi to posłannictwo Rosyi; proces, jaki przegraliśmy w historyi, powinien *wejść pod osłonę Słowiańskiego sztandaru*, do składu ogólnego roztrząsania, jakie nastąpi nad słowiańskim ustrojem. Uporczywie bronimy j e d y n i e prawa narodowości, usuwając na bok stanowczo, co tylko dotyczy polityki... a pokwitowawszy się uczciwie ze wszystkiemi *fantazyami przeszłości, gotowiśmy stanąć na tym słowiańskim gruncie. za prawa którego porwała za broń Rosya*... Kto podniesie potężny, pojednawczy głos, kto przemówi zręcznie i pociągająco? Nam pierwszym podnieść głosu nie wypada... Polityce daliśmy już za wygranę; nie powiodło się nam z nią podobnie jak naszym przodkom.... myśmy przetworzeni doświadczeniem z 1863 i 1870.... wstępujemy w obraz nowych poglądów na losy nasze.... przekonywamy się coraz bardziej o d o n i o s ł o ś c i e k o n o m i c z n y c h zadań, jakie stoją przed nami w Polsce i Rosyi. R o s s y a s ł y n ę ł a z b a r d z o p o w a ż n e j i u c z c i w e j p r a w n o ś c i w p o l i t y c e (!!!) pojęcie o władzach były jasno nakreślone; dziś wszystko w chaosie wpada nieraz w nietolerancyą. Ktobądź tu ma słuszność, ktobądź winien niedz; lecz nie do nas należy dochodzić tego. Czyliż mamy żyć z wami w wiecznych sporach i jeszcze chodzić obok siebie po o m a c k a c h?"

Zapytujemy teraz, czy nie jest to zupełną abdykacyą z godności narodowej, z tradycyjnego programu polskiego, czy nie jest to zdaniem się na łaskę i niełaskę, a znając instynkta dziedziców Suzdalskiego państwa, czy nie jest to samobójstwem, dobrowolnem zagrzebaniem Polski na dnie „potężnej rzeki moskiewskiej?" I zdawałoby się, że głos ten bluźnierczy i zdradziecki znajdzie w prasie moskiewskiej niesłychane powodzenie, a autor tego pamfletu na sztandar Polski zostanie okrzyczany jako Mesyasz pogodzenia! Gdzie tam! Ex ungue leonem... „Nowoje Wremja" — prosimy uważać — „Nowe Wremja, organ niezmiernie umiarkowany w sprawach polskich, taką daje odprawę naszemu „emigrantowi":

„Większej zarozumiałości i buty szlacheckiej nad tą, jaka się mieści w liście panów emigrantów, nie spotkaliśmy nigdy, chociaż ton tego dokumentu ciekawego wcale dla nas nie nowy. Jest to język czasów drugiego cesarstwa francuskiego, czyli — co na jedno wyjdzie — język jezuitów i oligarchów polskich. Jeszcze w r. 1870 panowie Polacy spostrzegli, że sprawa ich złą jest, że na odegranie jakiejś roli politycznej niema już co rachować, że ze wzrostem ruchu słowiańskiego, z początkiem nowego życia na półwyspie Bałkańskim, szlachetczyzna polska może pozostać zapomnianą nietylko przez społeczeństwo rosyjskie (bo to dawno zapomniało o niej) lecz nawet przez sam właściwy naród polski, t. j. przez polskiego mieszczanina i chłopa polskiego, który dopiero z rąk rosyjskich otrzymał ziemię na własność i pod rządem rosyjskim zdołał podnieść głowę z jarzma szlacheckiego i uczuć, że oprócz panów są jeszcze ludzi na świecie".

A zatem tak wygląda ugoda moskiewska. taki to duch „miłości słowiańskiej"!

Niema więc czego łudzić się mamidłem podłe kłamanej przyjaźni; porządny człowiek nie prowadzi dyskusyi z tym, którym pogardza.

A nawet w tym razie, gdyby do paktu z nami przystąpiło jakieś poważniejsze i uczciwsze stronnictwo, nawet gdyby z programem ugody przystąpiła do nas Rosya przyszłości, Rosya odrodzona na gruzach caratu, to i wówczas wedle prostego rachunku kupieckiego nie należy nam ustępować ani na krok z raz ubitej drogi, nie należy ani kawałka poświęcać z sztandaru polskiego, bo zawsze traci ten, co ustępuje.

Oto nasze ostatnie słowo w sprawie, żywo zajmującej obecnie głębsze umysły.

Panslawizm w obec nauki.

(Dokończenie).

Ważnym rysem fizyonomii narodowej są następnie obyczaje i pojęcia społeczne. Najnowsze badania, zresztą wcale jeszcze niedostateczne, pokazują, że w dostępnej dla nas starożytności plemiona słowiańskie były do siebie poniekąd zbli-

żone co do pojęć swych i obyczajów, czyli że podówczas narody Słowiańszczyzny w pewnym stopniu zachowały pierwotny typ ustroju społecznego, stanowiący najdawniejszą cechę całego plemienia. Typ ten był widocznie gminno-demokratyczny z kniaziem na czele, z ludowemi zgromadzeniami, patryalchalnym rządem w rodzinie i jurydyczną solidarnością gmin („bonitva, ujezd“ u Czechów; „opolc“ u Polaków; „okulina“ u Serbów; „wierw“ u Rosyan).

Pojęcia jurydyczne, przechowane w najdawniejszych prawodawstwach słowiańskich (Ruskaja Prawda, Zakonnik Duszana, Wiktorin z Wszebord i t. d.) przedstawiają wiele analogii, dających się wytłómaczyć wspólnem pochodzeniem. Takiemi były n. prz. pojęcia o stosunkach rodzinnych, o stanowisku kobiety, która w najdawniejszym czasie miała pewną samoistność i równouprawnienie, o poręce i o pieniężnej karze za przestępstwa. Dla tego też tam, gdzie zdarzenia dziejowe nie zniszczyły życia patryarchalnego, jeszcze do teraz istnieje pewne pokrewieństwo w wyobrażeniach społecznych. Tam gdzie dziejowe losy narodu musiały wpłynąć na przeistoczenie powolne, stopniowe dawnych ideałów narodowych, tam zatarła się w szumnym biegu wieków patryarchalna fizyonomia staroświeczczyzny, a teraźniejszy duch narodu znalazł sobie zupełnie odmienne warunki bytu. Są bowiem w Słowiańszczyznie narody *czynne*, narody występujące z sztandarem misyi na arenę publiczną, i plemiona *bierne*, plemiona żyjące w promieniu światła innych potężniejszych organizmów. Najczynniejszym narodem w całej słowiańszyźnie jest bez wątpienia Polska, ta Polska która była przedmurzem chrześcijaństwa przeciw napadom dziczy azyatyckiej i która na olbrzymim Wschodzie była i jest przednią etapą postępu europejskiego. W takich silnych, gorącem życiem bijących, w takich krzepkich organizmach narodowych staje się pierwszem hasłem, główną ewangelią życia *postęp* — a natomiast niknie, zagrzebuje się w sarkofag pergaminów *tradycya*. Niemasz więc owej historycznej patryarchalności w dziejach Polski; w burzliwym pochodzie historycznym generacya zapomina na świętości ojców swoich, apostołowie nowego plemienia ogłaszają nowe hasła i śpiewają nowe hymny; stare pojęcia przyjstaczają się pod wpływem nowych silniejszych prądów, a naród, wprowadzony przez losy w wir krwawych zapasów wojennych, niema czasu na poważną refleksyę.

Inaczej działo się na Południu. Tam wpływy cywilizacyi europejskiej nie zdołały zdruzgotać starych wiekami uświęconych ołtarzy; chociaż ziemię serbską krwawiły miecze tureckie, moskiewskie i niemieckie, to Serbya w górach swych znalazła naturalną a potężną zaporę przeciwko demoralizującym wpływom owej cywilizacyi Zachodu, która z ogniem pożogi i z mieczem zagłady w ręku chciała zniszczyć dawny spokojny a świetlany, skromny a wspaniały ideał Słowiańszczyzny.

Przychodzimy więc łatwo do przekonania, że i dziejowe losy i odmienność tradycyi, t. j. ideałów narodowych i wreszcie topograficzna fizyonomia pojedyńczych dzielnic słowiańskich spowodowała zupełną odrębność pojedyńczych typów słowiańskich. Jednem słowem, między jednem a drugiem plemieniem słowiańskiem niema związku genetycznego, niema owej krwi dziejowej, która łączy i spaja organizmy, niema zatem owej sławionej przez doktrynerów słowiańskich jedności etnologicznej i cywilizacyjnej.

Nic tak nie łączy narodów jak religia. Religia jest owem duchowem piętnem harmonii, które łagodzi najsprzeczniejsze żywioły. Tymczasem n. p. religijny związek Polski z Czechami objaśnia się względami przemijającej natury: wspólność dążeń religijnych łączyła je w czasach zaprowadzenia chrześcijaństwa tak samo jak i w okresie ruchów husyckich i reformacy. Husytyzm rozpowszechniał się w Polsce nie dla tego, że pochodził od Czechów, ale dla tego, że katolicyzm w obu krajach był powszechnym. czyli że herezya poczęta w jednem społeczeństwie udzieliła się z łatwością drugiemu. Husytom czeskim szło wyłącznie tylko o religijną propagandę; na narodowe względy byli oni obojętnymi. Kiedy znani „bracia czescy“ silili się odszukać historyczne podstawy swej nauki, posłali uczonych swych do Waldenzów zachodu i do Azyi, gdzie spodziewali się odnaleźć pierwszych chrześcijan w domniemanym państwie apokalipsy, a Waldenzowie i ci pierwsi chrześcijanie byli dla nich daleko droższi niżeli Słowianie... Zresztą i ta łączność religijna Słowian katolickich była tylko chwilową, występowała tylko w czasach takiego przewrotu jak reformacya — w czasach spokojnych zaś nie istniała i nie była potrzebną, albowiem było inne wspólne centrum i ognisko zjednoczenia t. j. Rzym.

Jeszcze jednym argumentem wojują panslawiści. Oto powiadają, że myśl o słowiańskiej jedności zajmowała już w odległej przeszłości dzielniejsze umysły. Panslawistyczny materyał odszukano aż w Nestorze, a w detajlicznej jego znajomości plemion słowiańskich znaleziono żywe poczucie plemiennej jedności. Nestor jest bez wątpienia znakomitym etnografem, więcej wie niżeli współcześni i późniejsi kronikarze słowiańscy ale tak samo jak Polanów i Russów zna Nestor Swewów, Urmanów, a nawet Anglików, wiadomą mu jest droga z Rzymu do Nowogrodu — jest to więc uczona znajomość współczesnej geografii europejskiej, a nie instynkt panslawistyczny, o który kronikarza ruskiego posądzają doktrynerzy panslawizmu.

Tak tedy podaliśmy w ogólnym zarysie genezę narodowo-społecznego bytu Słowiańszczyzny i przekonaliśmy się, na jakich zasadach opiera panslawizm opatrznościową swą misyę... Poczucie słowiańskości jest wynalazkiem najnowszych czasów; gdyby rasowa jedność głębiej tkwiła u pojedyńczych plemion, wówczas musiałaby ona w biegu wieków znaleźć jakiś wyraz, gdy tymczasem historya Słowiańszczyzny nie wykazuje podobnej manifestacyi. W drugiej połowie XVII. stulecia n. p. do Moskwy, tej Moskwy, która obecnie cała zadrgała gorączką panslawistyczną, przybył z nad Driny patryota serbski Jurko Križanicz, i wołał o silne zastępy północy dla obrony słowiańskiego Południa. I cóż zrobili ojcowie Aksakowów i Łamańskich? Oto wysłali poczciwego Serba na Sybir, gdzie o nim wszelka wieść przepadła.

Cały jednak powyższy wywód nie wyklucza wcale możności, aby słowiańskość, jako czynnik polityczny, zdołał kiedyś stworzyć ściślejszy związek plemion słowiańskich. Widzimy przecież, do czego doprowadziło podniesienie przez Moskwę sztandaru panslawizmu na Bałkanie. Chociaż sztandar ten właściwie pomalowany jest tylko herbami słowiańskimi, a w gruncie jest sztandarem niemiecko-moskiewskiej dyplomacyi petersburskiego gabinetu, to mimo to zbałamucone plemiona słowiańskiego południa żywo odczuwają ową ideę słowiańską, którą sobie stworzyły jako jedyną gwiazdę zbawienia w smutnej swej doli. Natomiast Polska nie potrzebuje tej na pół archeologicznej a na pół poetycznej idei, gdyż nadto wiele ma swego rodzimego, swego polskiego żywiołu

w sobie do zdobycia należytej pozycyi na Wschodzie. Tylko słabe, tylko przez historyę upośledzone organizmy potrzebują jakiegoś punktu oparcia po za sobą; tylko Bułgar albo Serb, potrzebuje mamidła panslawizmu, aby nie zwątpić o swej przyszłości.

Nie podlega wprawdzie wątpliwości, że ów Bułgar i Serb, bliższym jest Polakowi aniżeli Rumun lub Bretończyk, ale jest to pokrewieństwo czysto zoologicznej natury i niema głębszych warunków moralnych. Odmienne tradycye, inne źródła wiary, a przy tem najrozmaitszy stopień oświaty i literatury. Jednej, wspólnej modły rozwoju dla Polaka i Bułgara wymyśleć niepodobna, bo taka unifikacya interesów i dążeń dwóch różnie wykształconych narodów byłaby rzeczą nienaturalną i rozbiłaby się zaraz po pierwszej próbie.

Do innego wszakże rezultatu prowadzi zestawienie plemion słowiańskich, jako walczących z sprądem pangermanizmu. Tu już istnieje pewnego rodzaju wspólność interesu i dążenia; *fikcya jedności słowiańskiej może stać się n. p. w Austryi potężnym czynnikiem politycznym w walce pojedyńczych plemion słowiańskich naprzeciw niemiecko-madiarskiej hegemonii.* Kwestyę tę omówimy przy innej sposobności.

W ODPOWIEDZI

na wiersz Aleksandra hr. Fredry:

„Spalić nie spalić“ *).

Chociaż ległeś już w grobie, spokoju nie damy,
Tyś nas kochał za życia, my Cię wciąż kochamy,
A pragnąc co najwięcej szczytnych, swojskich wzorów
My Cię uczcim — uwielbim — w nowej seryi tworów.
Gdy zaś pierś Twa nie zadrży z powodzenia sztuki,
Pocieszą się tą chwałą i dzieci i wnuki —
Wieszczu! któryś przemawiał przez usta Cześnika,
Twa myśl, Twoje zasady, tysiące przenika.
Lub w Geldhabie, któż w sercu żalu nie uczuje,
Że Bamberg zapomaga, a siostrze żałuje.
Lecz czyż Twoje zasługi, Twoje świetne czyny —
Zdołam oddać — określić, przez tak słabe rymy.
Może — by naśladowców, przez lat szereg długi,
Miały i Jego dzieła i wszelkie zasługi,
By i korzyść połączyć z niespożytą chwałą,
Czyżby się nie godziło, czyżby nie przystało
Utworzyć trzy stypendya, od Fredry imienia,
Kiedy Go naród polski i czci i ocenia! —
Więc na jedno się złóżmy, my w małej krainie
Co nie tyle ze skarbów, jak z dobrych serc słynie —
Drugiemu — to Rodzina zmarłego podoła —
Wdzięczna za splendor z Jego płynący jej czoła —
Na trzecie do konkursu, Galicyan wzywamy!
Czy Oni więcej sypną? — czy my więcej damy?

Dnia 14. Lutego 1877 r.

Ludwik Rakowski, z Królestwa.

*) Chętnie umieszczamy przysłany nam powyższy wiersz ze względu na szlachetną jego tendencyą. Myśl utworzenia kilku stypendyów imienia J. A. Fredry, którą autor, okrywający się pod pseudonimem „Ludwik Rakowski“ propaguje, będzie zapewne przedmiotem ściślejszej dyskusyi w dziennikarstwie naszem. Otwieramy więc łamy naszego pisma dla tej sprawy. *(Przyp. Red).*

Wiara, Nadzieja i Miłość.

POWIEŚĆ Z EPOKI TERRORYZMU

z angielskiego tłumaczył X. . . . .

(Ciąg dalszy).

Rozdział XXXIV.

Nadzieja świta nad brzegami Albionu.

— Z roskoszą odwracam znużony wzrok od tych krwawych widowisk, ku spokojnym wybrzeżom mojej rodzinnej ziemi — ku gościnnej Anglii.

Nie mam zamiaru zastanawiać się szczegółowo nad ówczesną polityką gabinetu angielskiego, w obec przewrotów dokonywanych w ościennem państwie podczas terrorystycznych rządów Robespierra; nadmienię tylko, że cały naród angielski okazywał niekłamane współczucie dla wygnańców francuskich, ofiar rewolucyjnego fanatyzmu. Statki angielskie wypływające z portów francuskich roiły się tłumami tych nieszczęśliwych, szukających bespiecznego schronienia na ziemi angielskiej. Możnaby zarzucić ówczesnemu rządowi angielskiemu, że się ze swojej strony nie zajął losem wychodźców francuskich, jednakże na usprawiedliwienie jego przytoczyć należy tę okoliczność, że Anglia zawikłaną była podówczas w wojny, pociągające za sobą ogromne wydatki. Za to lud, widząc obojętność rządu swego, o tyle wspaniałomyślniej postąpił sobie, niosąc pomoc tym, których uważał zawsze za wrogów swojej ojczyzny.

W jednej z okazalszych dzielnic Londynu, wznosił się duży, wspaniały gmach, który zamieszkiwał Mr. Sommers. Był on kupcem, jednym z owych książąt handlowego świata, którymi Anglia słusznie szczycić się może; którzy nie świecą wprawdzie szychem herbowych godności, natomiast ojczyźnie swej dodają blasku daleko trwalszej wartości. Czemże byłaby Anglia, gdyby zabrakło tych ludzi? Na ich barkach wznosi się cały gmach jej pomyślności i sławy. Mr. Sommers był czystej wody Anglikiem, jednym z owych zimnych i sztywnych okazów ludzkich, u których uczucie zdaje się mieć swoją siedzibę w kieszeni, nie w sercu. Niechaj jednakże nie sądzi czytelnik, że przez to porównanie zamierzam poniżyć w jego oczach moich współobywateli. Bynajmniej. Bo chociaż zdają się oni na pozór być zimnymi, chociaż z ich twarzy trudno ci doczytać wyrazu uprzejmości, a rozmowy ich nie

będą upstrzone owym dowcipem, który potrafi lada błahostkę, pozbawioną treści, ubrać w powabną formę; powiem więcej, chociaż charakter Anglika wyda ci się ponurym i samolubnym, — to są to, wierzaj mi, w wielu razach tylko pozory zewnętrzne. Ująwszy dłoń Anglika, gdy uczujesz przyjacielski jego uścisk, gdy sie wpatrzysz bliżej w jego rzewne oko, gdy w twem nieszczęściu usłyszysz z ust jego słowa pociechy, przestaniesz sądzić go jedynie ze sztywnej jego powierzchowności. Utoruj sobie tylko przystęp do jego serca, a odda ci je całkowicie.

Jednakowoż nie chodzi mi tu o Mr. Sommersa, lecz o jego piękną jedynaczkę, chlubę i nadzieję ojca, który w niej widział najdroższy swój klejnot na ziemi.

Marya Sommers, jakkolwiek opływała w dostatki, musiała zaraz w pierwszej swej wiośnie doznać smutku i cierpień goryczy. W szesnastym roku życia płakała już nad grobem matki; łzy cisnące się gwałtem do oczu ukrywała przed ojcem; każde westchnienie zbolałego serca tłumiła w głębi duszy, aby nie pomnażać jego boleści. Pani Sommers, rodowita Francuska, należała do liczby owych zacnych matron, które w skutek anielskiej swej słodyczy i wysokich cnót niewieścich, roztaczają jakiś niewymowny urok na życie rodzinne, którego stały się spójnią i ogniskiem. Mąż jej, protestant, czuł ten urok cnotliwej żony nad sobą i nie opierał się temu bynajmniej, aby jedyna ich córka wychowywaną była po katolicku; zgon zaś pani Sommers pełen rezygnacyi i poddania się woli bożej, tak silne na nim uczynił wrażenie, że porzuciwszy protestantyzm przeszedł na łono katolickiego Kościoła.

Mr. Sommers posiadał ogromny majątek: to też nie dziw, że do ręki pięknej spadkobierczyni znalazło się wielu kandydatów. Jednych pociągały pieniądze, drugich urocza postać i wdzięki jedynaczki. Z pomiędzy wszystkich najwięcej względów doznawał młody człowiek, nazwiskiem Henry Clifford. Posiadał on imię i majątek, przedewszystkiem zaś te przymioty umysłu i serca, które uczyniły go od razu miłym konkurentem tak ojcu jak córce.

Marya była jeszcze młodem dziewczęciem, to też ojciec nie chciał zezwolić natychmiast na połączenie młodej pary. Henry Clifford był jednak od tej chwili codziennym gościem w jego domu. Jego przywiązanie i miłość ku Maryi rosły z dniem każdym; z niecierpliwością liczył dnie i godziny wyglądając chwili, kiedy by mógł nazwać ją swoją. Był on katolikiem; lecz katolików była podówczas w Anglii bardzo mała liczba, a z pomiędzy tych, wielu nie stosowało się do zasad swej wiary. Takim był i Clifford. Uważał on praktyki religijne jako więzy niepotrzebnie nałożone na człowieka, dla tego też, zaledwie opuścił mury szkolne, począł natychmiast wyswobadzać się z pod wpływu zasad moralności, które mu zaszczepiono w młodości i w chwili gdy się starał o rękę Maryi był już skończonym graczem i libertynem. Chociaż brnął coraz głębiej w występki i życie rozpustne, nie był on jednakże zepsutym do gruntu: zachował dobre serce, a przyczyną rozpusty były raczej złe przykłady otaczających go kompanów, jak przyrodzona skłonność do złego. Tysiąc razy, od czasu poznania Maryi, postanawiał porzucić życie hulaszcze, lecz, jak to zwykle bywa, łatwiej jest powziąć postanowienie, aniżeli wykonać takowe — przyrzeczenia poprawy kończyły się postanowieniem: że wejdzie na lepszą drogę zostawszy mężem Maryi Sommers.

Marya oddała mu całą swą duszę, kochała go z całą gorącością czystego serca, jednakowoż słowa jego raziły ją częstokroć, niepokoiły ją. O rzeczach religii wyrażał się on bowiem w sposób nader lekceważący, żadna świętość nie uszła jego drwinkom i zgryźliwej satyrze. Marya drżała na myśl, że kiedyś ma się połączyć z człowiekiem, będącym wstanie zwichnąć całe jej szczęście doczesne i wieczne, noce bezsenne trawiła płacząc i błagając o światło z nieba. Dwie alternatywy stanęły przed jej umysłem: albo żyć z tym, którego się szacować nie może, albo żyć bez tego, którego się kocha, do którego serce lgnie z uporczywem przywiązaniem.

Pewnego dnia, kiedy byli sami, oświadczyła mu Marya, że teraźniejszy stosunek ich musi być zerwany, że nie może poślubić męża, który by narażał ją na utratę wiecznego szczęścia, za cenę doczesnego tylko. Clifford osłupiał; z drżących ust Maryi i niepewnego jej głosu domyślał się, co ją to postanowienie kosztować musiało: użył więc wszelkich sposobów, aby odwieść ją od tego postanowienia. Błagał, zaklinał, czynił wyrzuty — nic to nie pomogło, tem bardziej, że sposób przekonywania jakiego użył, zamiast rozbroić, tem bardziej umacniał ją w powziętym zamiarze. Rozstając się, nie zdołał nawet Clifford uzyskać od niej, aby mu pozostawiła choćby słaby promyk nadziei, że kiedyś w przyszłości będzie mu wolno ubiegać się o jej rękę.

Zapytana od ojca z jakiego powodu zerwała tak nagle z Cliffordem rzekła:

— Nie mogę być żoną człowieka, który nie posiada bezwarunkowego mego zaufania; jako żona Clifforda narażam się na utratę zbawienia, bo jeżelibym nie potrafiła oprzeć mu się teraz, cóż byłoby później?

— Ależ dziecię moje, wszakże on jeszcze poprawić się może.

Marya podniósłszy ku ojcu oczy łzą zroszone rzekła z westchnieniem:

— Mam nadzieję.

Mr. Sommers uszanował postanowienie córki. Chociaż z boleścią patrzał jak z twarzy jej znikał powoli rumieniec; jak krok jej chwiejny coraz bardziej tracił swą dawną sprężystość, nie wspominał jej jednak nigdy o Henryku Cliffordzie.

Rozdział XXXV.

Pieniądze Maryi Sommers.

Pewnego dnia, będąc z wizytą u znajomych, Marya w toku rozmowy dowiedziała się o Henryku Cliffordzie, że znajduje się w niebezpieczeństwie być wyrzuconym z pewnego towarzystwa, do którego należał, za niciuiszczenie się z honorowego długu. Ocuciwszy się z pierwszego wrażenia, jakie na niej wywarła ta wiadomość, pożegnała czemprędzej towarzystwo i natychmiast pospieszyła do domu.

— Czy ojciec w domu? — zapytała odźwiernego drżącym od wzruszenia głosem.

— W domu, proszę panienki, w bibliotece. — Tam też skierowała swe kroki. Mr. Sommers na pierwszy rzut oka wyczytał z oczu córki, że coś zaszło ważnego.

— Co ci jest Maryo?

— Ach nie pytaj mię ojcze? — a potok łez nie pozwolił jej mówić dalej.

Przez długi czas naprózno uspokajał ją Mr. Sommers. Wreszcie zebrawszy siły zapytała:

— Powiedz mi drogi ojcze, na miłość ku mnie zaklinam cię, czy nie przypada na mnie po matce jakaś cząstka majątku: potrzebuję kilka tysięcy funtów.

— Bez wątpienia moje dziecię, ale czemu pytasz mię o to?

— Nie mogłabym otrzymać od ciebie asygnacyi na taką kwotę?

— Dlaczegoż nie, jeżeli tylko zażądasz. — Marya odetchnęła. —

— A mogę użyć tych pieniędzy według mej woli i nie będziesz żądać rachunku?

— Użyj ich jak ci się podoba — odpowiedział z czułością ojcowską Mr. Sommers — nie będę cię o to pytać, w jaki sposób użyłaś takowych, bo o tem wiem z góry; lecz uprzedzam cię, że pieniądze twoje mogą mu pomódz chwilowo, ale ostatecznie nie uchronią go od zguby.

Henryk Clifford przechadzał się szybkim krokim krokiem po swoim gustownie urządzonym gabinecie, a powierzchowność jego zdradzała gwałtowne wewnętrzne wzburzenie: Widocznie pasował się z jakąś natrętną myślą. Nareszcie uczynił nagły zwrot, przewrócił stojące w drodze krzesło, uderzył się w głowę i tonem ostatecznej decyzyi rzekł do siebie.

— Co pomoże długo zastanawiać się nad tem; muszę sprzedać moją rangę oficerską i — rzecz skończona.

Monolog jego, przerwał wchodzący sługa oznajmiając przybycie jakiejś nieznajomej mu damy.

— Damy — powtórzył zdziwiony Henryk — jak wygląda? —

— Przez gruby welon nie mogłem dostrzedz rysów twarzy; przybyła w towarzystwie służącej.

— Proś ją tu.

Marya Sommers weszła do gabinetu chwiejąc się pod wpływem gwałtownego wzruszenia. — Natychmiast poznał ją Clifford.

— Na miły Bóg! Maryo! anielska istoto! nie wierzę zmysłom moim — wołał w zdumieniu chwytając jej rękę i okrywając ją pocałunkami — co ciebie tu sprowadza, czy uzyskałem może twoje przebaczenie?

Dziewica odkryła welon, a utkwiwszy weń błagający wzrok rzekła:

— Nie przynoszę ci przebaczenia, bo nie obraziłeś mię nigdy; przychodzę jedynie z prośbą do ciebie, której mam nadzieję, nie odmówisz mi.

— O mój aniele! zawołał Clifford z rozpromienioną twarzą — cóż jest, czegobym dla ciebie nie miał uczynić? Każde żądanie twoje jest dla mnie rozkazem.

— Więc przyrzekasz nie odmówić mej prośbie?

— Przyrzekam, na honor.

— Jeżeli tak, to przyjmiesz bez obrazy, tę oto kwotę na pokrycie twego długu.

— Przebacz Maryo, że twojej szlachetnej ofiary przyjąć nie mogę; prawda że zrujnowałem mój majątek, i trudno mi będzie wydobyć się z matni, mam jednak jeszcze jeden sposób na to, gdy sprzedam moją rangę.

— Co? sprzedać rangę, i to teraz, gdy lada chwila możesz być powołanym na pole walki? O Henryku!

— Nie droga Maryo, nie sądź mię tak surowo; sprzedam wprawdzie rangę, lecz nie myślę przez to wyłamywać się od obowiązków względem ojczyzny, pospieszę na plac bitew jako ochotnik i wszystko uczynię, aby niestać się niegodnym ciebie.

— Ależ nie powinieneś łamać danego słowa; zaklinam cię na miłość którą okazywałeś mi dawniej, przyjmij pieniądze.

— Nie mogę pozwolić na zmarnowanie twoich pieniędzy z powodu moich wybryków.

— Nie będą one zmarnowane, jeżeli uratują cię od zguby. O ratuj się i od tej chwili skieruj twe życie na inne tory.

— Powtarzam i przyrzekam ci to uroczyście; odtąd nikt nie będzie śmiał powiedzieć o mnie, że Henryk Clifford wzgardził radami swego opiekuńczego anioła.

Marya wróciwszy do domu, zamknęła się w swojem budoarze, aby w samotności dać wolny bieg uczuciom swoim.

Nie jeden, wiedząc o jej odwiedzinach u młodego Clifforda, ścisnąłby ramionami i nazwałby to co najmniej nieroztropnością; Marya nie zwróciła na to uwagi; jej myśli błądziły około innego przedmiotu: czy uratowała Henryka, czy mogła mieć nadzieję, że jego przyrodzona szlachetność odniesie zwycięstwo nad występkiem i sprowadzi go na drogę cnoty.

Stwórca wlewając w jej dziewicze serce cnotę nadziei, widział, że w trudnej pielgrzymce życia ta cnota będzie jej przedewszystkiem potrzebną; świeciła ona z jej tkliwych błękitnych oczu, dźwięczała melodyjnie w jej srebrnym głosie, jaśniała w jej ujmującym, pełnym nadziei uśmiechu. Zdawało się że powołaniem jej życia było: wszczepiać nadzieję w serca, które ją utraciły. Nie raz też widziano piękną dziewicę, jak w towarzystwie swej sługi obchodziła najuboższe zakątki Londynu, wyszukując ubogich i nigdy twarzyczka jej nie promieniała taką radością, jak w chwili spełniania podobnych uczynków miłosierdzia. Ojciec jej nie sprzeciwiał się jej bynajmniej, czuł on, że Bóg obdarzył go tym jasnym i czystym klejnotem nie dla jego pociechy wyłącznie, ale dla innych również strapionych serc.

Mr. Sommers przemieszkiwał za życia żony jakiś czas z rodziną w Paryżu; w którym to czasie miało miejsce spotkanie się Maryi Sommers z Rebeką Benimen. Okoliczność ta sprawiła na niej silne wrażenie; ustawicznie stała jej odtąd przed oczyma piękna postać żydówki, jej rozpromieniona w zachwycie niebiańskim twarzyczka nie mogła ulotnić się z jej pamięci. Jakże pragnęła spotkać się z nią kiedyś. Francuskich emigrantów pytała często, czy nie słyszeli co kiedy o Rebece Benimen, ci jednak nie mogli zaspokoić jej ciekawości. Wielu z nich znali Izaaka, lecz o jego córce nic nie słyszeli.

Jednego pięknego wieczora, w czerwcu, siedziała Marya w swym budoarze; jej piękna głowa opierała się w zadumaniu na alabastrowej białości ręce, a drobna nóżka wyglądająca z pod fałdów jedwabnej sukni, tupała niecierpliwie po aksamitnym podnóżku. Marzenia jej przerwał sługa wchodzący z oznajmieniem, że przybył ksiądz L— i czeka w gościnnym salonie. Marya zerwała się z siedzenia i pospieszyła na przyjęcie gościa. Ksiądz L— był jednym z emigrantów francuskich, którego wielce poważała. Znała go jeszcze z Francyi; a kiedy rewolucya rzuciła go na brzeg obcej ziemi, ona pierwsza podała mu pomocną rękę i pocieszała słowami nadziei.

Po kilku zamienionych słowach, ksiądz L — oświadczył, że wizyta jego ma cel niezwykły. Z natężoną uwagą słuchała go Marya. Gdy skończył opowiadanie w oku Maryi kręciła się łza.

— Czemuż — zawołała — nie sprowadziłeś ich tu, księże od razu? Dom nasz pomieści ich wszystkich, a ojciec mój nie sprzeciwi się mej prośbie.

— O nie, tego nie żądam; nie ma potrzeby sprowadzać ich tu wszystkich. Jeżeli pan Sommers nie będzie przeciwny temu, ośmielę się przyprowadzić czterech na jeden lub dwa dni.

Mr. Sommers, który właśnie w tej chwili wszedł do salonu, dowiedziawszy się o co rzecz idzie, przychylił się bezwarunkowo do prośby księdza i córki: — a tak poczciwy proboszcz z Blois, O. Monroe, Abraham Łazarz i Izaak Benimen zostali umieszczeni pod gościnnym dachem Maryi Sommers. Czy też powiedzie się jej rozdarte ich serca orzeźwić balsamem Nadziei? (C. d. n.)

Przegląd dziennikarstwa galicyjskiego.

Ze świata dziennikarskiego dwie pocieszające mamy wiadomości:

Dziennikarstwu galicyjskiemu przybywa nowy przyjaciel, jeśli jeszcze nie sprzymierzeniec w całem tego słowa znaczeniu. Za takiego bowiem, zdaje się nam, możemy poczytywać *Ruch literacki*. Jużeśmy oddawna zaznaczali, że *Ruch* konserwatywne wyznaje zasady. Teraz pod wpływem mowy Ojca św. (którą jednakże *Ruch* podał wedle przeinaczonej stylizacyi p. W. K.) znajdujemy w ostatnim Nr. *Ruchu* artykuł wstępny pod tyt. „Katolicyzm i Polska", z którego z przyjemnością następujące podajemy wyjątki:

„Zastanawiając się zeszłym razem, na czem wiara nasza w przyszłość Polski opierać się winna, wykazaliśmy, że tylko na Bogu, na prawdzie, sprawiedliwości, na przyrodzonych prawach narodu i własnej jego pracy. Ta tylko bowiem podstawa nas nie zawiedzie, ta tylko z pod nóg nam nigdy się nie usunie i nie zmieni.

Miłość ojczyzny dla tego właśnie jest wielką i świętą i tyle nam drogą, że z Boga płynie i w Bogu ma swe źródło. W Nim też dla tego prawda i sprawiedliwość i przyrodzone prawa narodów znajdują moc swoją i urok.

Jeżeli prawda ta w chwilach rozkoszy i powodzenia, w dniach wolności, niepodległości, sławy i dobrobytu może się wydać komu za idealną, t. j. za mało pozytywną, to w dniach zimnej rzeczywistości ucisku i niedoli, w dniach klęsk i niepowodzeń, w dniach egoizmu i zapomnienia, w jakiem naród nasz wiek cały już przejęczał, wyda się nam prawdą wielką, jasną, promienistą i najpozytywniejszą ze wszystkich.

Że ucisk i cierpienia zbliżają człowieka i narody do Boga, t. j. do prawdy, sprawdziło się i na naszym narodzie. W niedoli naszej prawdę lepiej i głębiej poznawać poczęliśmy: co to jest myśl Boża w niego tchniona, co to są prawa przyrodzone narodu, co to są jego koleje i te pomoce i węzły, które jak życie z Boga mu są dane.

Żyliśmy dotąd i działali jak dzieci — pełni wiary, prostoty i dobrych instynktów. I Bóg nam błogosławił, bo urosła z działań tych świetna przeszłość nasza. Dziś po upadku i wiekowej pokucie, wiara nasza wedle zadania Pańskiego staje się rozumną, t. j. do wiary przybyła nam świadomość rządów Bożych i posłannictwa naszego . . .

Nie myślimy się tu wdawać w opis chronologiczny wypadków dziejowych, „jak Polacy pod wpływem katolicyzmu potrafili przyjść do wolności i praw, których bogate źródło i wzory pierwotne chrześcijaństwo podało... i jak bez krwi rozlewu i gwałtownego obalenia dawnego porządku rzeczy, każdą chwytali sposobność, aby przyjść zwolna, organicznym porządkiem do swobód, jakich inne narody ani nawet zaznały".[1]) Dość wspomnieć, że rozwijając charakter swój narodowy pod godłem „Bóg i Ojczyzna" i walcząc na kresach przez Opatrzność sobie wskazanych „za wiarę i wolność," stali się narodem rycerskim, na wskroś chrześcijańskim, a tworząc z piersi swoich nieprzełamaną tarczę od północy i wschodu dla chrześcijańskiej cywilizacyi Zachodu, złączyli się z nią dziejami swemi tak ściśle, że Kościół jako jej najwyższy przedstawiciel, dnie sławy i zwycięstw polskich ogłosił ku wiecznej pamięci za święta całego chrześcijańskiego świata. W dnie te jak np. w rocznicę zwycięstwa pod Chocimem, Kościół ustami duchowieństwa całego świata modli się za Polskę [2]) i rozpamiętywa także waleczność i poświęcenie ówczesne polskiego rycerstwa.

Pamięć ta Kościoła o Polsce uczyniła ją popularną w całym katolickim świecie, a duchowieństwo polskie utrzymywała po wszystkie czasy w patryotyzmie, bo i w dniach ucisku i niewoli każąc się modlić za Polskę i dnie jej sławy rozpamiętywać — nie dozwalała mu nigdy zapominać o niej.

Sympatye też i uznanie dla Polski żywiły po wszystkie czasy dusze czyste, szlachetne i religijne wszystkich narodów świata. Miłość dla niej stała się, jak słusznie powiedziano, probierzem zacności i moralności ludzi i narodów, gdy bezbożność, ateizm, niemoralność i egoizm pod jaką bądź kolwiek występowały formą polityczną, społeczną, czy naukową, nienawiść swą zawsze manifestowały dla Polski. Ztąd też dzieje nasze wiążą się tak ściśle z postępem i upadkiem cywilizacyi chrześcijańskiej Zachodu, iż ogólny upadek ducha chrześcijańskiego w ludach Europy przypadł właśnie na epokę rozbioru Polski . . .

Korzystając z głębokiego wrażenia, jakie ostatnie przemówienie Piusa IX. za Polską wywarło na wszystkich wiernych Polsce i Kościołowi, rzuciliśmy umyślnie tych słów kilka o wzajemnym stosunku do siebie katolicyzmu i Polski, aby przy lepszym nastroju dusz naszych lepiej też i głębiej zrozumianem zostało to odwieczne hasło nasze „Bóg i Ojczyzna", i to godło bojowe „Za wiarę i wolność"; abyśmy w dniach upadku i zwątpienia, w dniach stygnięcia serc naszych, fałszywem i przewrotnem rzeczy rozumieniem nie bluźnili prawdzie, która stawszy się duchem i życiem naszej przeszłości, przeprowadziła nas szczęśliwie przez ciężkie dni niewoli i ucisku, i dziś nową pokrzepiła nas nadzieją na ostatnią, da Bóg może, pracę pokuty i odrodzenia".

Nie wątpimy, że *Ruch* w duchu wypowiedzianych tu zasad dalej redagowanym będzie — i dlatego z chęcią polecamy go polskiej publiczności, tę żywiąc nadzieję, że *Ruch* z czasem nie tylko przyjacielem ale i współszermierzem będzie w dziennikarstwie polsko-katolickiem.

Druga wiadomość nie mniej pocieszająca to to, że *Tydzień* zaczyna widocznie tracić głowę. Namacalnie nie tylko

[1]) K. Brodziński. Mowa o narodowości. Str. 22.

[2]) Brev. Rom. Hymn. ad matu. d. 10. Octobris.

w redakcyi, ale i w administracyi coś się wikła. Jak zwykle w takich wypadkach, sili się *Tydzień* na to, aby być drastycznym. W wstępnym art. Nr. 42 z 24 czerwca łabędzim śpiewem kwili na wydawnictwa ludowe i na propagandę jezuicką jaką one rzeszą. Jak piękny ten śpiew poznać można z następującego ustępu:

„Z drugiej znów strony innego rodzaju, według nas także niebezpieczna szerzy się propaganda. Takie „Apostolstwo Serca Jezusowego“, o którem niedawno pisaliśmy, a które utwierdza lud w tem zgubnem mniemaniu, że cuda wybawią go od choroby, od nędzy, od procesów, słowem od wszystkiego złego, i w ten sposób potęguje jeszcze najzgubniejszy w ludzie naszym kwietyzm i niedbalstwo, taka „Chata“ cała zapełniona opowieściami o cudach, o Ludwice Lateau, o wodzie z Lourdes, taki „Wieniec“ i „Pszczółka“, z których czytelnik jako o przykładzie godnym naśladowania dowiaduje się o rodzicach, którzy *pragnęli* śmierci dziecka swego, ażeby to dziecko było w niebie „papieskim żuawem“, a których prośba istotnie wysłuchaną została, czyż to wszystko nie straszna trucizna? Czyż to nie jest szerzenie zabobonu w miejsce prawdziwej wiary? Utwierdzanie ludu w jego nieporadności i niedbalstwie, zamiast zachęcania go do użycia i potęgowania sił własnych? Słyszymy już głosy, które na nas się podniosą, że pragniemy ateistycznego piśmiennictwa ludowego — bo już nieraz padały na nas te kłamliwe zarzuty. My chcemy, by to piśmiennictwo ludowe było przejęte duchem religijnym,(!) ale nie pogańskim, a to co dzisiaj z rąk jezuickich pomiędzy ludem się rozchodzi, pogańskiem jest a nie Chrystusowem — zabobonnem jest a nie religijnem. I tak samo jak z założonemi rękoma przypatrujemy się agitacyi antisocyalnej i antinarodowej, tak też i ta między ludem antireligijna choć pod płaszczykiem wiary płodzona agitacya nie napotyka żadnej przeszkody ze strony dobrze myślącego ogółu.“

Na końcu Nru ukradkiem jako ostatnie swe słowo zapisuje *Tydzień* swoje darwińskie tezy. Mówiąc o tem, że po odcięciu głowy, członki się jeszcze ruszają, robi tę arcymądrą konkluzyę:

„Pokazuje się więc, że i w tułowiu po odjęciu głowy życie nie ustaje natychmiast.“

Niżej nieco opowiadając o jakimś niedzwiedniku, który, w klatce dwu niedzwiedzi się znajdując, od jednego z nich na ziemię rzucony i przygnieciony został, tak dalej mówi:

„W tem zwierz drugi, widząc krytyczne położenie karmiciela swego rzuca się na towarzysza, chwyta go zębami za kark i ściąga z biednego dozorcy, którego wydostano z klatki na pół żywego ze strachu. Jest to pierwszy fakt tego rodzaju(!) w którym zwierzę nietylko okazało swe przywiązanie do człowieka, ale posunęło to uczucie aż do spełnienia szlachetnego czynu ze *świadomością celu* (obstupuere omnes!). *Widocznie więc czyny moralne nie są wyłącznym przywilejem ludzkości.*

Radzimy *Tygodniowi*, aby się zapisał pierwej na uniwersytet i nauczył nieco zdrowej filozofii — zoologii i fizyologii — a takich bredni pisać nie będzie.

* * *

Dziennik polski. Organ dezorganizacyjny, noszący dla blichtru imię „polskiego“, przypadkiem zapewne wygadał się i odsłonił, do jakiego kresu zmierza. Rozgniewany krokiem Mac-Mahona, widzi on jedyny ratunek dla „porządku rzeczy“ (wedle swojej modły) w *komunie*. Oto własne jego słowa:

„Legitymiści i orleaniści mniej jeszcze, jeżeli można, liczą figur zdolnych uchwycić ster w takiej chwili. Zamiast spokoju na wewnątrz i potęgi na zewnątrz, Francja z eksperymentu Mac-Mahona może mieć żniwo anarchji i upadku ostatecznego. Każdy jej przyjaciel tedy z bijącem rzeczywiście sercem oczekiwać musi nie tryumfu nowej uzurpacyi, ale zwycięztwa *legalnego porządku rzeczy*,(?) i spokojnym o los Francyi można będzie być dopiero wtenczas, gdy groźba prezesa gminy paryzkiej będzie spełnioną, tj. wtenczas, *gdy buntownicy i zdrajcy stanu klękną z zawiązanemi oczyma przed plutonem żołnierzy z nabitą bronią*“.

Wiemy teraz, czemu *Dzien. pol.* wszystko i wszystkich napada — i jakiej „reformy wszystkiego“ pragnie. „*Komuna w Paryżu* — zapewne też *i komuna we Lwowie*“, to najwyższy trybunał porządku wedle serca *Dziennika polskiego*.

* * *

Słowo. Jeżeli kto cierpi na hypochondryę, niech sobie każe na jaki europejski język przetłumaczyć fejleton 64 nr. „*Słowa*“. Artykuł nosi tytuł: „Słowianie i Turcy“. Żak jaki myślałby, że tu jest mowa przynajmniej o Czerniajewie i Hajrułła-effendim. Gdzietam! Fejletonista „Słowa“ mówi o długach, jakie seminarzyści ruscy robią we Lwowie. Stara to rzecz wprawdzie i najwięcej o niej mogą powiedzieć ci, którzy za pp. alumnów wydają swe córki. Ale nikt w Europie nie wie dotąd, zkąd się u wychowańców seminaryum ruskiego wzięła taka potężna inklinacya do finansowych operacyj. Kto temu winien? Królestwo temu, kto odgadnie. Oto winni temu — *risum teneatis* — Polacy! Tak jest! Oni to w roku 1848., wedle słów autora namówili kilku akademików ruskich, by wstąpili do gwardyi polskiej; przy gwardyi nauczyli się ci odszczepieńcy dobrze żyć, jedząc oczywiście ostrygi i spijając szampana — a kiedy Lwów zbombardowano, udało się tych kilku sybarytów ruskich do seminaryum lwowskiego! Co to może potęga tradycyi! Pięciu akademików ruskich zjadło w r. 1848 dobre śniadanie i odtąd każdy syn hreczanej Rusi, wstępując w poważne mury seminaryum dostaje w lot inne podniebienie i ćwiczy się w podpisywaniu niezliczonych weksli, *zahlbar* z kasy teścia po ożenieniu!

Klękajcie narody przed fejletonistą „*Słowa!* Czołem przed tym głębokim psychologiem! Uwielbieniu temu genialnemu historyozofowi!

O Beocyo — ty w XIX. stuleciu nazywasz się Rutenią!

* * *

Wiadomości kościelne. Wiadom. kość. w Nr. 13 z dnia 23 czerwca, przytaczają ustęp z artykułu *Piasta* „Przemowa Ojca św. do redaktorów katol.“ a potem piszą co następuje:

„Z chlubą dla naszego pisma powiemy, żeśmy odczuli upomnienia Ojca św., aby *duch miłości* wiał z katolickiego pisma“ pisze ks. Stojałowski kilka wierszy przed powyżej przytoczonem na nasze pismo oskarżeniem, biorąc assumpt z przytoczonej także przez siebie mowy Ojca św. do redaktorów pism katolickich. Tego „ducha miłości“ objawia ks. Stojałowski na nowo oznajmieniem swoim czytelnikom, iż *Przegl. Lwowski* z *Wiad. Kość.* podawał *Piasta* w podejrzenie „jakoby się przychylał do zasad niekatolickich“.

Mniemamy, że zarzut podobny, uczyniony pismu wydawanemu przez kapłana, jest ciężki. Ks. Stojałowski publicznie i nas oskarża, żeśmy mu go zrobili, oczywiście niesprawiedliwie. Prosimy Go przeto z naszej strony uprzejmie, aby był łaskaw wymienić nam ten numer któregokolwiek z naszych pism, nietylko gdzieśmy podawali *Piasta* w podejrzenie, jakoby się przychylał do zasad niekatolickich, ale gdzieśmy cokolwiekbądź o *Piaście* pisali

Ks. Stojałowski, którego „pisma kierunek w upomnieniu Ojca św. znalazł najwyższą pochwałę“ i któremu „słowo Piusa dało nadzieję zwycięstwa“ (nad kim?), i który chcąc się do tego słowa stosować równocześnie „odwołuje to wszystko, cokolwiek napisał w zapale polemiki, a co niesłusznie lub zanadto dotykało osobistości“, raczy łaskawie udowodnić, gdzieśmy Go „podawali w podejrzenie o przychylanie się do zasad niekatolickich“, albo również odwołać słowa, które napisał. Mamy nadzieję, że będzie dla nas przynajmniej tyle uprzejmym, co dla pp. Młockiego i Janka, przeciwko którym pisane przez się rzeczy tak solennie odwołuje. *Red. Wiad. Kość.*“

Na „uprzejmą“ prośbę „Wiadomości kość.“ odpowiadamy *tymczasem* inną uprzejmą prośbą: Niech nam *Wiad. kość*, będą łaskawe powiedzieć:

1) Dlaczego tak zaciętą opozycyą stawiły pielgrzymce włościańskiej, przez redaktora *Piasta* urządzanej?

2) Co je skłoniło do napisania słynnego oświadczenia w Nrze 5 *Wiad. kość.*

3) Czemu nie odpowiedziały nic na naszą odpowiedź w *dodatku* do Nr. 10. *Piasta.*

4) Czy *Wiad. kość.* a raczej ich redaktor, bierze na siebie odpowiedzialność za pismo ś. p. hr. M. Dziedusz. wystosowane w *imieniu komitetu.*

5) Czy *Wiad. kość.* brały też udział „*w relacyach*, które o X. Stojałowskim poszły do Watykanu.“

6) Czemu *Wiad. kość.* po dziś dzień nic nie odwołały i nie sprostowały?

Odebrawszy odpowiedź na te pytania i my z odpowiedzią wyczerpującą pospieszymy.

Na jedno tylko krótkie i skromne, nawiasowe pytanie *Wiad. kość.* dziś już odpowiadamy. Pytają one nad kim zwycięstwa nadzieję dają nam słowa Piusa IX. do redaktorów wypowiedziane?

Owoż dają nam one nadzieję zwycięstwa *idei*, którą podniosły pisma nasze, tak *Piast* jak *Wieniec* i *Pszczółka.* To bowiem jest zasługą naszą, której nam nikt nie odbierze, że pisma nasze są pismami *idei. Wieniec* i *Pszczółka* podniosły ideę politycznego wykształcenia ludzi — ideę dotąd w Galicyi odłogiem leżącą.

Były bowiem pisemka ludowe przed nami, niektóre już sobie nawet zdobyły prawo obywatelstwa, i wzrosły do poważnej liczby prenumeratorów — alež jaka ich idea przewodnia? Oświata ludu, to prawda, ależ to wspólne wszelkiej pracy około ludu. Nie odmawiamy tym pisemkom wartości i zasługi — mówiliśmy o tem nieraz, ale idei one nie miały i podobno nie mają. „Rozbudzić czucie i życie obywatelskie — lud przerobić na patryotów wedle starego hasła Ojców: „Bóg i ojczyzna.“ i w ten sposób przygotować nasienie odrodzenia ojczyzny“ — oto idea *Wieńca* i *Pszczółki.* Ona się nie opłaca, owszem ona dotąd ściągnęła z nas przeszło 200 złr. grzywny i karę więzienia — ależ wydawnictwo nasze nie jest wydawnictwem „*interesu*“.

Również i „*Piast*“ nową podniósł ideę. Podczas gdy jedne pisma katolickie o żadnej polemice nie myślały dla „świętości interesu“, podczas gdy drugie posługiwały się jakąś literacką maczugą i obłoconem kropidłem, aby wszystko rozbijać i wszystkich owalać — gdy polemika przekraczająca granice przyzwoitości zamiast przekonywać i pociągać, coraz bardziej odpychała od sprawy polsko-katolickiej nawet ludzi nie złej woli, chociaż może ulegających pewnym przesądom — „*Piast*“ podniósł hasło odwieczne św. Augustyna, które prędzej czy później w miłości chrześcijańskiej połączy w narodowym, katolickim obozie wszystkich ludzi dobrej woli.

Tego zwycięstwa „idei“ dają nam nadzieję słowa Piusa IX — a zwycięstwo idei doprowadzi też do zwycięstwa „*nad tymi*“ — których jedyną ideą jest *interes* — lub *osobista ambicya.*

* * *

Włościanin. Z obowiązku naszego ostrzegamy Przew. Duchowieństwo przed *nowym propagatorem niemieckiego liberalizmu* wśród naszego ludu. Niedawno temu odżył w Krakowie: „*Włościanin*“ z „*Zagrodą*“, a odżył takim jak był. Dawny już „Włościanin“ zachęcał włościan do bezrobocia, tłumacząc im, że szlachta krzywdę mu robi płacąc 15 centów dziennie. Niedawno powstawał on przeciw pielgrzymce, a oto teraz tak pisze o iluminacyi w Krakowie:

„Szkoda tylko, że każdy medal ma swoją odwrotną stronę i do tego uroczystego obchodu mięszały się uliczne awantury nie przydające mu wcale świetności. Banda uliczników prawdopodobnie *podburzona przez pewne osoby* wytłukiwała szyby tym, których okna nie były oświecone, a nawet żydom. Postępowanie takie nie miało sensu, wszakże żyjemy pod rządem konstytucyjnym i każdy z nas ma prawo wypowiedzieć swoje zdanie z zupełną swobodą. Nie było żadnych poleceń ani ogłoszeń illuminacyi, nie jeden z tych, którym wytłuczono szyby albo o tej illuminacyi nie wiedział albo nie był w domu lub zresztą oświetlanie okien nie zgadzało się z jego przekonaniem, jakim też prawem i to w tak brutalny sposób zniewolano go do tego? Co zaś do żydów to ci nie należąc do naszego Kościoła, nie mieli wcale obowiązku obchodzić jubileuszu Ojca św., żądanie od nich tego było tak samo śmiesznem, jak śmiesznem byłoby, gdyby oni obchodząc także jakąś swoją uroczystość i paląc illuminacye, tego od nas wymagali. Podług naszego zdania uczczonoby lepiej Ojca św, gdyby za te pieniądze które wydano na kupno świeczek i lamp do illuminacyi założono jaki pożyteczny zakład dla całego kraju pod Jego imieniem jako to: szkołę, szpital, dom przytułku dla starców i kalek lub coś w podobnym rodzaju, doczegoby się z pewnością wszyscy przyłożyli i taki rodzaj czci naszego narodu bardziejby pewnie rozradował Ojca św. jak palono świeczki, (*sic*) a tych zaś, którym potłuczono szyby nie narażałby na nieprzyjemności, przestrach a nawet kalectwo, jak to jednę osobę o mało nie spotkało, gdyż rzucony w okno kamień tuż koło niej przeleciał. Podobne burdy uliczne przystoją tylko pijakom nie zaś rozumnym ludziom.“

Uwagi te pokryte doskonałą maską zanadto widocznie jednak zdradzają tendencyą pisma, które przeto należy wytrącić z rąk ludu. Spodziewamy się że i inne pisma, które jednozgodnie pochwaliły iluminacyę i udział w niej wzięły, zganią dążności tak niezgodne z duchem ludu i tak mu szkodliwe.

Przegląd polityczny.

Moskale przeszli Dunaj — *we Francyi* Mac-Mahon za uchwałą senatu rozwiązał Izbę — o to dwa wypadki ostatniego tygodnia, które słusznie za najważniejsze poczytane być mają. Być też bardzo może, że nie bez opatrznościowego zrządzenia w tej samej prawie chwili dokonane zostały. Moskwa przekraczająca Dunaj, to pierwsze ważniejsze zwycięstwo bezprawia i burzycieli porządku — uchwała senatu rozwiązująca Izbę, to pierwszy tryumf idei prawa i ładu, która gdyby we Francyi całkowite zwycięstwo odniosła, odzyskałaby ona prawdopodobnie stanowczy i wpływowy głos na Wschodzie, przy układaniu nowego stanu rzeczy, jaki koniec końcem musi być następstwem toczącej się wojny.

Odtąd wypadki na Zachodzie zarówno ważne są dla nas, jak posuwanie się armii białego cara.

Podczas, gdy w artykułach gazeciarskich i na biesiadach podnoszona bywa potrzeba „zgody Rossyi z Polakami“ — co oceniamy powyżej — dochodzą wiadomości *z pod Moskala*, że w gubernii Mińskiej zgraja zdemoralizowanych księży i kleryków, zaprowadziła już język moskiewski do rytuału i do kazań, a położenie Polaków tak w Polsce jak na Syberyi jest opłakane. Jakżeż tu wierzyć w toasta i artykuły pojednawcze?

Podobnego ucisku przedmiotem są bracia *Wielkopolanie*, czego nowym dowodem prowincyonalny sejm Wksięstwa, w którym żywioł niemiecki z umysłu usuwa Polaków od współudziału w komisyach, a tem samem od wpływu na obrady. Ostatni też zakład pp. Urszulanek w Gnieźnie serdecznie żegnany od mieszczan, zmuszony pójść na wygnanie. Słowa pożegnalne: „Do widzenia“ oby się rychło sprawdzić mogły.

Galicya jedna poszczycić się może kilku zdobyczami na polu narodowem: Ustawy o lichwie i pijaństwie przeszły w Izbie wyższej i niebawem zapewne otrzymają sankcyę. Wystawa krajowa raźno się przygotowuje, i z pewnością nie pozostanie bez wpływu na rozwój gospodarstwa, domowego przemysłu, jak również narodowego życia. Słusznie też do zwołać się mającego niebawem (8 sierpnia) sejmu, większe jak dotąd przywiązywać możemy nadzieje.

Polacy w Ameryce również do sejmu, piątego z kolei się gotują, którego szumny program ogłasza *Gaz. pol. kat.* Podamy go w przyszłym numerze.

W Rzymie szereg posłuchań mniej więcej zakończony; wszystkie narody stawiły się w Rzymie, wszystko pokrzepione na duchu, wzmocnione w wierze i miłości, wróciły do domu staczać dalej walki Boże. Zdrowie Ojca św. pomimo niezmiernego strudzenia, które przyjmowanie prawie codzienne pielgrzymów naturalnie za sobą pociągało, nie odniosło żadnego szwanku.

Na ostatnim konsystorzu mianował Ojciec św. trzech Kardynałów, między tymi JX. Arcybiskupa wiedeńskiego Kutschkera.

W Austryi według doniesienia dziennika *Pesti Naplo* rozprawy względem rozdziału kwot, jakie każda połowa austryo-węgierskiej monarchii ma dostarczyć, uważać należy jako rozbite. Mimo wybitnie urzędowego komunikatu w *Pol. Corresp.*, mającego dążność pokojową, opinia ogółu wierzy w mobilizacyą dwóch czy trzech korpusów armii austryackiej. *Foris bella, intus timores*, powiedzieć można o Austryi.

Konferencye poufne.

„Pielgrzymka to dzieło wielkiej doniosłości“ powtarzamy wszyscy — i słusznie. A mybyśmy dodali, że to dzieło przedewszystkiem *ludowe*, którego lud polski głównie dokonał, i które na *korzyść ludu* powinno być wyzyskane przez kapłanów, pasterzy ludu. Zaprawdę, jeżeli policzymy pielgrzymów i sklasyfikujemy ich wedle stanu, wątpliwości o tem mieć nie można. Weźmy n. p. Galicyę. Ze szlachty zaledwie kilku, z mieszczaństwa zwłaszcza wyższego, z tej tak zwanej inteligencyi nic — wszystko lud i kapłani. Lepiej już w Wielkopolsce, ale zawsze ze szlachty około 11.; z ludu 50 osób. O Szlązku już nie mówić, bo tam polskiej szlachty niema — 107 jednak pielgrzymów Szlązk dostarczył.

Cyframi tedy dowieść można, że pielgrzymka to dzieło ludu. Pochlubić się też mogą kapłani, że lud pod ich stoi komendą, bo oto na ich wezwanie i pod ich przewodnictwem pospieszył ten lud polski do Rzymu.

Powtórzymy też już, cośmy wypowiedzieli na innem miejscu: *To pierwszy akt polityczny ludu*, pierwszy dowód, że on już zdolny do działania, i że przyszła chwila, w której on sprawę narodową weźmie w ręce, i Polskę wybawi!

Być może, że jeszcze komu, pomimo dokonanego faktu pielgrzymki, to zdanie i przekonanie wyda się urojonem lub jeszcze przedwczesnem — my jednak silnie przy niem stoimy, a zbliżenie się do włościan w czasie pielgrzymki, obcowanie z nimi ustawiczne przez te trzy tygodnie, utwierdziło nas w tem przeświadczeniu, że w sercu naszego ludu rozbudzić się da nietylko żywa pobożność, ale i *najgorętsze uczucie patryotyczne*.

Powie kto, że pielgrzymi, to wybór polskiego ludu. To prawda, ale to też dzisiaj apostołowie, albo jeśli chcemy mówić więcej po świecku, to agitatorowie, których trzeba poprzeć w ich religijno-narodowem działaniu.

I oto właśnie przychodzimy do myśli, którą chcieliśmy poruszyć w tej konferencyi.

Po całej Galicyi rozeszło się kilkuset pielgrzymów wysoko nastrojonego ducha, których każdy słucha z uwagą i uszanowaniem. Oni przysposabiają grunt, który trzeba dalej sprawić i zasiać.

A sprawienie to i zasianie stać się musi przez zgromadzenia ludowe czyli wiece, przez rozszerzania pisemek ludowych i zakładanie stowarzyszeń ludowych mianowicie: czytelni i kółek rolniczych. Mamy w tej mierze z góry obmyślany plan i przeprowadzilibyśmy go za łaską Bożą z pewnością — ale nic nie zdołamy zrobić bez pomocy miejscowych kapłanów i pasterzy.

Od lat trzech już prawie, t. j. od początku objęcia wydawnictwa pisemek ludowych wołamy: „zwołujcie wiece, i rozszerzajcie pisemka ludowe, zakładajcie czytelnie i kółka rolnicze“. Słabo tylko odpowiadano na nasze wołania — nikt niemiał odwagi — jeden odsyłał do drugiego — niektórym rzecz się zdawała niepodobną do wykonania, a wszyscy prawie niedowierzali.

Przetrwawszy ostatnią ciężką walkę o pielgrzymkę i przeprowadziwszy ją podobno ku zadowolnieniu wszystkich, zdaje nam się, że możemy liczyć na większe poparcie i większe zaufanie dla naszych dążności i idei.

A zatem z wielką otuchą odzywamy się ponownie do Przewielebnych Duszpasterzy i w pierwszym rzędzie usilnie prosimy:

a) aby zechcieli nam dopomódz w urządzaniu wieców czyli zgromadzeń ludowych;

b) aby nas poparli w rozszerzaniu pism naszych ludowych i wydawnictwa ludowego;

c) aby poprzeć nas raczyli w wydawnictwie „Piasta".

Co do pierwszej rzeczy da się ona wykonać w następujący sposób: Przyznajemy, że lud nasz jeszcze do wieców nie jest pod względem formalnym przysposobiony, bo niewie jakie są prawa i jaki sposób odbywania zgromadzeń ludowych. Więc przed wiecami legalnemi, a raczej publicznemi, potrzeba wieców przygotowawczych, czyli zgromadzeń prywatnych, poufnych, do których ze strony rządu żadnego nie potrzeba zezwolenia. Odbyć się one mogą w następujący sposób. Szanowni duszpasterze, którzy zechcą nas usłuchać, raczą wezwać redaktora *Piasta* do siebie z kazaniem na odpust lub na zwyczajną niedzielę. Połowę kosztów podróży bierzemy na siebie. Naszem zadaniem będzie na miejscu wedle okoliczności miejscowych przysposobić parafian do urządzenia wieca publicznego i pouczać o formalnych warunkach wieca. W ten sposób cały prawie ciężar przygotowawczej pracy bierzemy na siebie.

Gdzieby jednak kapłani miejscowi mieli czas i ochotę sami przygotować sprawę, tamby należało pouczyć włościan o tem co następuje:

1) Że dzisiaj na podstawie Konstytucyi każdy obywatel państwa, a więc i wieśniak jest powołany i uprawniony do radzenia o sobie samym i o dobru całego kraju. Ztąd dla przedstawienia i obstarania dobra cały kraj obchodzącego, wybiera się posłów, do obstarania dobra powiatu obiera się rady powiatowe — a dla obmyślenia środków zaradzenia złemu lub niedostatkom miejscowym — oraz dla pouczenia się o sprawach publicznych, służą zgromadzenia ludowe czyli narady pojedyńczych gmin lub parafij.

2) Na takich naradach czyli zgromadzeniach obierają sobie zgromadzeni przewodniczącego, który kieruje obradami i utrzymuje porządek.

3) Przed zwołaniem takiego zgromadzenia potrzeba oznaczyć przedmiot narad, oraz czas i miejsce zgromadzenia i zawiadomić o tem władzę polityczną (starostwo lub policyę).

Co do drugiego — jest to rzecz, którą z licznych doświadczeń uznajemy za pewną, że pisemka ludowe, tam się silnie i licznie rozszerzają, gdzie kapłani o to się starają. Nie możemy się użalać pod tym względem, ale też nie możemy powiedzieć, że nic nie pozostaje do życzenia. Szczególniej zaś jakośmy już raz o tem wspomnieli, nie wszyscy zdają się pojmować doniosłość politycznego pisemka dla ludu. A jednak co innego jest pismo ludowe zwyczajne, a co innego gazetka polityczna.

W mieście Tarnopolu miał miejsce następujący wypadek: Pewien z czytelników *Chaty* dowiedziawszy się, że wychodzi jakieś inne pisemko ludowe: „*Wieniec*" poszedł do X. R. radzić się, czy ma je zaprenumerować. X. R. powiedział mu, że skoro ma *Chatę*, *Wieniec* jest mu zbyteczny. Po kilku tygodniach wpadł przypadkiem numer *Wieńca* w ręce onego człowieka, który przeczytawszy go napisał do nas list, w którym opowiadając ten wypadek tak pisał: „przeczytawszy *Wieńca*, poznałem że jest to *zupełnie co innego* jak *Chata* i dlatego zaraz postanowiłem napisać..."

W iluż to miejscowościach znalazłoby się dużo takich, którzy pragną coś więcej nad opowiadania i historye i radziby coś wiedzieć o świecie? Jednego tylko potrzeba, aby kapłani zechcieli nas poprzeć. Dlatego to wszystkim prenumeratorom *Piasta*, poszlemy na żądanie *Wieńca* i prosimy, aby go na los szczęścia dali komuś ze swoich znajowych i zachęcili do prenumeraty. O wydawnictwie ludowem i *Piasta* powiemy w jednym z najbliższych Nrów.

Od redakcyi.

W zaprzeszłym Nrze, wydanym pod nieobecność głównego redaktora zaszła jedna ważniejsza pomyłka, którą niniejszem prostujemy:

W mowie X. St. przy poświęcaniu chorągwi włość ustęp na str 5: „*Skutki tego objawu katolickości*... aż do końca, należy wtrącić po ustępie na str. 5 mianowicie po słowach: „*której skutki niezaginą i której zwycięstwo obiecane*. W ten sposób ustęp o chorągwi jest ostatnim, a epilog mowy poczyna się od słów: „*Pod tym sztandarem*", a kończy się słowy: „*choćby krwią własną stwierdzać Waszą miłość Boga i kochanej ojczyzny*.."

Czas odnowić przedpłatę!

Z tym numerem kończy się trzeci kwartał istnienia ***Piasta***. Prosimy więc o nadsyłanie zaległości — i rozszerzanie pisma. Zaległe nra dostać można.

Zawsze jeszcze za msze *Piasta* otrzymać można.

Da Bóg wytrwamy na twardem stanowisku!

Premią do Piasta „obraz olejno drukowany" Serca Pana Jezusa roześlemy w przyszłym tygodniu, nie mogliśmy bowiem wcześniej tego zrobić z powodu pielgrzymki. Musimy ją rozesłać osobno na wałeczku i dlatego zażądać musimy od naszych prenumeratorów 20 centów na koszta przesyłki. Posyłając z gazetką narazilibyśmy obrazy na zniszczenie lub zagubę.

Gdybyśmy chcieli opisywać pielgrzymkę w ***Piaście***, za długoby to trwało, a zatem wydamy osobno:

Z drukarni zakł. nar. im. Ossolińskich.